Nr. 12. We Lwowie dnia 25. marca 1900. Rok 8.

TYDZIEŃ

Dodatek literacki Kurjera Lwowskiego

pod kierownictwem Bolesława Wysłoucha.

Polacy w Berlinie.

I. Kolonja polska w Berlinie składa się z bardzo różnorodnych żywiołów, co zresztą naturalnem jest wobec różnorodności motywów, które skłoniły zamieszkałych obecnie w Berlinie Polaków do opuszczenia kraju rodzinnego. Berlin, zaopatrując prowincję w wyroby przemysłu, kierując handlem, dając jednem słowem produkty zróżniczkowanej pracy społecznej, czerpie z prowincji w zamian surowy materjał martwy, i surowy materjał ludzki — prostego, niewykwalifikowanego robotnika, siłę muskułów. Z drugiej zaś strony wschodni pas cesarstwa niemieckiego, jako mniej rozwinięty przemysłowo od prowincji zachodnich, posiada ów surowy materjał ludzki, czerpie zaś z zachodu wyroby przemysłu; wytwarza się niejako handel zamienny, w którym jedna strona daje produkt zróżniczkowanej pracy, druga płaci za to ludźmi. Taką jest geneza ekonomiczna emigracji z Poznańskiego, z Prus Zachodnich, a poczęści i ze Szlązka do Berlina.

Dlatego też wśród wychodźtwa polskiego w Berlinie liczebnie najsilniej reprezentowana jest klasa ludzi, którzy, stając po raz pierwszy na bruku berlińskim, nic więcej ze sobą nie mieli, prócz silnych muskularnych rąk i tęgich barów. Lecz właśnie takich potrzeba ludzkiemu mrowisku najbardziej i o takich właśnie starają się agenci w Poznańskiem, w Prusach i na Szlązku, rozumując trafnie, że robotnik niewykształcony, nie mający nic prócz prostej siły pociągowej zwierzęcia, wychowany na wsi, najmniejsze będzie miał wymagania. Spotykamy więc w Berlinie tysiące Polaków, zatrudnionych przy budowie domów, jako podawaczy cegieł, w rozmaitych zakładach spedycyjnych jako tragarzy; widzimy ich w zimie wśród armji bezdomnych ludzi, których jedynem zajęciem jest zamiatanie ulic ze śniegu i oczyszczanie ich z błota; oni kręcą koła rozpędowe u maszyn, nie poruszanych motorem; oni pomagają wyładowywać i naładowywać roje berlinek, kręcących się po Sprei; spotkać ich można pomiędzy układającemi bruk lub rury wodociągowe na ulicach kompanjami robotników; spotkać ich można przy najprostszych czynnościach w fabrykach.

Gdy się mówi lub pisze o tem, że liczba Polaków w Berlinie dochodzi do 60 tysięcy, przypuszczalne to obliczenie opiera się w pierwszej linji na znacznej liczbie tych niewykwalifikowanych w żadnym zawodzie prostych robotników, którzy rok rocznie tysiącami przybywają do Berlina. Jednakże bardzo wątpliwem jest, o ile tych ludzi bez wszelkich zastrzeżeń zaliczać można do Polaków, ponieważ germanizują się niesłychanie szybko, — a raczej nie germanizują się, lecz zatracają poczucie swej narodowości; poczucie to nie było w nich nigdy zupełnie świadome, a opierało się przeważnie na wpływie otoczenia w kraju, na mowie i na wyznaniu. Szkoła pruska niemieckiego ich nie nauczyła, po polsku czytać się nie nauczyli sami, więc i gazeta do nich nie trafi. W obcem otoczeniu, wyjęci z pod wpływów swego duszpasterza, niedostępni dla drukowanego polskiego słowa, zapominają, czem byli, nie wiedzą, czem są, język ich — to dziwna mieszanina słów polskich i zdań niemieckich; ich święto — to dzień tygodniowej wypłaty, ich nabożeństwo — to możność wyspania się przez cały dzień. Nie trafi do nich żadna odezwa jakiegoś polskiego towarzystwa, zresztą celu zachowania narodowości nie pojmują; ponieważ większość przebywa niezwiązana żadnymi związkami rodzinnemi, więc żenią się z czasem, naturalnie z niemkami, a wtedy germanizują się naprawdę. Inni znów dostają się do organicji robotniczych partyjnych, w szeregi *„der rothen Internationale"*, która też germanizuje, choć na inny sposób.

Taki jest los tych najliczniejszych zastępów emigracji. Naturalnie — wyjątków nie brak. My

mówimy tu jednak nie o jednostkach, lecz o tysiącach.

Mógłby ktoś zbytni pesymizm zarzucić powyższemu poglądowi, opierając się mianowicie na wrażeniach, odniesionych z posiedzenia jakiegoś Towarzystwa lub jakiegoś wiecu, na którym wśród mówców w pierwszej linji występują ludzie prości, którzy sami o sobie twierdzą, że dopiero na obczyźnie rozjaśniło się im w głowach i nauczyli się szanować swą narodowość i bronić jej przed zagładą. Na to odpowiedź nie trudna: wszystkie towarzystwa polskie w Berlinie liczą najwyżej 2 tysiące członków, na wiecach, np. na ostatnim z dnia 21 stycznia, widzimy z 1500 osób, kilkaset osób nie mogło uczestniczyć z powodu braku miejsca na sali; *„Dziennik Berliński“* w najlepszych swych czasach liczył do 1200 prenumeratorów. Liczby te pozwalają mniemać, że około 5 tysięcy Polaków w Berlinie uznaje potrzebę organizacji, potrzebę przeciwdziałania germanizacji dobrowolnej; więcej liczyć nie można, choćbyśmy nawet przypuścić chcieli, że to nie ci sami należą do towarzystw, co przychodzą na wiec i co czytają miejscową gazetę. Liczmy drugie 5 tysięcy na członków rodzin tych powyżej wymienionych, jakkolwiek przynajmniej połowa jest bez rodzin, a ci, co je mają, z rodziną przychodzą na wiece i zebrania towarzystw. Będzie więc 10 tysięcy. Dodajmy drugie tyle na Polaków, którzy się niewynarodowili, choć do organizacji nie należą i z nią styczności nie mają. Będzie więc 20 tysięcy w najlepszym razie, — a gdzież pozostająca reszta do 60 tysięcy, gdyż tyle powinno być istotnie, jeśli wnosić z rozmiarów emigracji z kraju? Ta reszta — to owe tysiące prostych robotników, o których mówiliśmy powyżej; na wiec nie przychodzą, bo dowiedzieć się o nim mogliby albo z gazety, której nie czytają, albo na zebraniu towarzystwa, do którego nie należą; gazety nie czytają, bo nie byli na wiecu, o jej istnieniu nie wiedzą, czytać nie są w możności; — i towarzystw nie znają, bo tylko za pośrednictwem gazety, znajomych, lub wiecu wciągnięci by do nich być mogli: jednem słowem s t o j ą p o z a o b r ę b e m j a k i e g o ś k o l w i e k ż y c i a p o l s k i e g o, s ą i z o l o w a n i. I dlatego to właśnie na pierwszy rzut oka ta zorganizowana część polskiej kolonji, te pięć tysięcy, te towarzystwa, wiece, zebrania wydają się nam całą kolonją polską, są zaś tylko jej jądrem: naprawdę tysiące nikną gdzieś w cieniu, pochłaniane bez odgłosu walki, bez oporu i bez śladu przez tryby ruchu społecznego wielkiego miasta, które tysiąc po tysiącu przerabia na swą krew i nerwy i wciąż woła: więcej!

R.

Czy Zaprzaniec?

Urywek ze wspomnień powstania.

napisał **B. A.**

Było to w końcu marca, a może nawet w początku kwietnia 1864 roku. Zima rozpościerała jeszcze nad Polską całą swoje panowanie, mróz i śnieg, przeplatane odwilżą i deszczem, po sobie następowały, a z rzadka tylko z po za chmur wyjrzało słońce, jak zwiastun zbliżającej się wiosny, a więc odrodzenia w naturze.

Niestety! wprost przeciwnie działo się z naszem powstaniem, które wycieńczone 14 sto miesięcznemi wysiłkami, jak lampa wypalona, dogorywało.

Oprócz dzielnego wodza w Sandomierskiem, Bosaka, który sam jeszcze na ostro z wrogami się ścierał, tylko gdzie niegdzie niedobitki oddziałów powstańczych się pokazywały. W Lubelskiem i Podlaskiem już dzielny Jankowski, znany w końcu pod nazwiskiem Szydłowskiego, przez Moskali schwytany i na śmierć wydany został, Marecki poległ w okolicach Kurowa, a Leniecki jakoteż Krysiński z resztkami oddziałów musieli się wycofać z kraju. Sam nawet Wróblewski, wytrwały dowódca konnego oddziału litewskiego, po stoczeniu kilka potyczek, okryty ranami, widział się zmuszonym przez osaczające go siły wroga do rozpuszczenia oddziału i wyjazdu do Galicji.

I mnie losy moje powstańcze zawiodły wówczas w Lubelskie, gdzie od początku grudnia 1863 roku zajmowałem zaszczytne a niekoniecznie bezpieczne stanowisko pomocnika i sekretarza komisarza pełnomocnego województwa Lubelskiego, pułkownika Zaczka (Wysockiego)*).

W chwili, o której piszę, nietylko szeregi powstańcze rzedły i nikły, lecz i pod wpływem zwątpienia i paniki, obejmującej coraz szersze kręgi, luki w organizacji narodowej stawały się coraz większemi.

W tej to epoce oprócz powyższego mego dygnitarstwa, pełniłem zarazem obowiązki i naczelnika powiatu Krasnostawskiego i Lubelskiego. Naturalnie że rezydencji stałej nie miałem, a raczej rezydowałem na bryczce w ciągłej podróży pomiędzy Kurowem, Krasnymstawem, Za-

*) Pułkownik Odrowąż Wysocki Zaczek, o ile mi wiadomo, żyje dotychczas jako emeryt „Crédit foncier“ w Lipowcu poczta Chrzanów. Wielce ciekawe pamiętniki jego (o wydrukowaniu ich nie słyszałem) zawierają wiele cennych epizodów, od czasu wojny w Turcji i Krymie 1854 roku aż do 1890 r.

mościem i Hrubieszowem, spełniając najrozmaitsze misje, do których mię pułkownik Zaczek delegował.

W ostatnich jednak czasach bawiłem ciągle w okolicach Lublina, a często w Biskupin pod samem miastem, gdzie stykając się codziennie z Moskalami, czułem się bezpieczniejszym jak zdala od Lublina, gdzie rodacy nastraszeni częstemi napadami Moskali i ich barbarzyństwem, niechętnie już przytułek powstańcom dawali.

Powiat Lubelski, jako podlegający najczęstszym napadom Moskali, był też najwięcej zdemoralizowany i zwątpiały i dlatego to mój naczelnik, Komisarz pełnomocny, wysłał mię tam z zupełnem pełnomocnictwem, dzieląc się swą władzą ze mną, to jest dając mi pewną liczbę blankietów z pieczęcią komisarską do dyskrecjonalnego użytku.

Chodziło o podniesienie upadającego ducha, o wskrzeszenie uroku powstania i Rządu Narodowego, działanie więc winno było być szybkie, bez wahania i odnoszenia się do wyższej instancji. (C. d. n.).

Z Syberji i Kamczatki.

Ks. Krzysztof Szwermycki.

W latach 70-tych ubiegłego stulecia, z chwilą, gdy wskutek manifestów rozmaitych nastąpiło pozwolenie co do przesiedlenia się zesłanych na Syberję do gubernji Rosji europejskiej, Irkuck stał się na czas pewien miejscem zbiorowem dla wracających na zachód. Tutaj, po długiej nieraz rozłące spotykano się znowu, ażeby rozstać się ponownie, a najczęściej już na wieki.

Wśród ciągłego przypływu i odpływu fali towarzystwa wygnańców polskich w Irkucku, występowały na jego widowni grupy osób, lub pojedyńcze osobistości, które pozostawiły po sobie ślady mniej lub więcej głębokie w umysłach i sercach rodaków, bawiących wtedy na wygnaniu. Czy którykolwiek z tych ostatnich zechce przekazać potomnym imiona ludzi, zasłużonych na polu działalności cichej, lecz głęboko patrjotycznej na Syberji, trudno dzisiaj powiedzieć; najczęściej brak danych, potrzebnych dla uzupełnienia wspomnień pośmiertnych staje dobrym chęciom na przeszkodzie. Co do mnie, to bawiąc w Irkucku zawsze dorywczo, a nigdy długo, mało miałem sposobności do zebrania materjału dla krótkich nawet notat bjograficznych. To, co mi się udało dotąd zachować w pamięci, lub to, o czem się dowiedzieć jeszcze mogę od niewielu pozostałych przy życiu kolegów wygnania, postaram się umieszczać w miarę możności przy niniejszych obrazkach ze wschodniej Syberji.

Rozpoczynam dzisiaj od bjografji proboszcza w Irkucku, księdza Krzysztofa Szwermyckiego. Należał on do starszej generacji „Sybiraków“, był bowiem zesłany do wschodniej Syberji na mieszkanie w roku 1851. Po sześcioletnim tam pobycie mógł wrócić do ojczyzny, a to na mocy „ogólnej amnestji“, ogłoszonej po wstąpieniu na tron cesarza Aleksandra II., nie uczynił tego jednak, lecz pozostał w Irkucku, ażeby tam pełnić obowiązki proboszcza, gdyż nikt z kraju na dobrowolne takie wygnanie odważyć się wtedy nie śmiał, ci zaś, którzy z musu na te posady przybywali, dalecy byli od pojmowania szczytnych zadań swoich*). Pozostanie tedy księdza Szwermyckiego w Irkucku uznać musimy za akt poświęcenia wielkiego z jego strony, bo nie brak przywiązania do stron ojczystych i rodziny, lecz gorąca miłość ku tym nieszczęśliwym, którzy wrócić do kraju nie mieli prawa, więc pozostawać musieli bez pociechy religijnej na obczyźnie, wpłynęła głównie na postanowienie księdza Krzysztofa. Poświęcenie uczuć swoich najdroższych dla dobra bliźnich, stanowiło cechę znamienną charakteru proboszcza irkuckiego. On należał do tych rzadkich już dzisiaj typów z pomiędzy naszych duszpasterzy, którzy całą istotę swoją niosą w ofierze bliźnim; drugą cechą jego było oddanie się całkowite zajęciom powołania duchownego, a nie rozpraszanie sił swoich na czynności uboczne, chociażby one pozornie były tak niewinne, jak polowanie, jak uprawa roli, pielęgnowanie drzew owocowych, lub hodowla kwiatów i pszczół, albo znowu chociażby one były tak modne, tak powszechnie i fanatycznie uprawiane, że żaden „porządny obywatel“ od nich stronić nie śmiał, jak n. p. granie w karty na zebraniach wieczornych, lub politykowanie przy herbacie, piwie lub winie. Unikając stale wszystkich zabaw i rozrywek, odwlekających myśl w strony niewłaściwe, a do tego najczęściej deprawujących umysł i serce, ksiądz Krzysztof poświęcał cały swój czas parafjanom, kościołowi i szkółce, skupiał wszystkie władze swego umysłu

*) Ogólnie mówiąc, byli to czynownicy, nosili najczęściej gwiazdkę czynowniczą na czapce, traktowali swoje obowiązki duchowne jako rzemiosło, grywali „z rusakami“ w karty, pili z nimi, a wygnańców uważali za „katorżnych“. Nie przeczę, że położenie księdza katolickiego, a do tego Polaka, wśród towarzystwa rosyjskiego jest niezmiernie ciężkie. To też rzadko znajdzie się umysł wyższy, który potrafi na tem stanowisku postępować z godnością, z taktem właściwym i pełnić swe obowiązki, nie zawadziwszy, ani o Scyllę, ani o Charybdę.

w jedno ognisko, z którego promieniowały na zewnątrz czyny nieustannego miłosierdzia.

Będąc przez 40 lat proboszczem jednej z największych parafji na Syberji, sięgającej na północ aż do oceanu lodowatego, a na południe do granicy Mongolji, widział mało szczęścia wśród swoich, lecz natomiast był świadkiem ciągłej niedoli, nędzy ciężkiej, łez gorzkich wielu, a często i zwątpienia. Obcując stale z nieszczęściem, nie był nigdy obojętnym jego widzem, przeciwnie odczuwał głęboko męczarnie życia wygnańczego, starał się też według sił swoich i możności ulżyć cierpieniom, niosąc wszędzie, obok wsparcia materjalnego, pociechę duchową, wraz z tą cichą iskrą nadziei, która jedna tylko jest wstanie uchronić ludzi od zwątpienia i rozpaczy.

Co roku odwiedzał swoich parafjan, docierał do najodleglejszych zakątków, do najdzikszych okolic, nie pominął i nie opuścił nikogo, często zbaczał daleko z drogi, ażeby módz tylko odwiedzić i pocieszyć zapomnianego przez wszystkich nędzarza. Każdy też z jego parafjan oczekiwał z upragnieniem i gorączkową niecierpliwością przybycia na wiosnę anioła pocieszyciela w osobie proboszcza, który umiał ożywić i umocnić każde zbolałe serce i natchnąć wiarą w lepszą przyszłość. Tą wiarą gorącą i szczerą był on sam na wskróś przejęty. „Kto nie wierzy w ojczyznę wolną, ten nie wart być Polakiem“ -- powiadał. „Niech jak chce będzie“, dodawał „a wiosna zawitać przecie musi i do nas kiedykolwiek“. Wiarą taką ożywiony, uważał każdą ofiarę, składaną na ołtarzu wolności, czy to z życia młodzieńczego bojowników, czy tylko z ich wolności osobistej — jako środek skuteczny dla przyśpieszenia chwili zbawienia, czyli chwili, wedle słów jego, „kiedy zapanuje w społeczeństwach ludzkich zasada miłości i sprawiedliwości, gdy brat bratu przestanie być wilkiem“. Z prawdziwie męczeńskim wyrazem na twarzy towarzyszył na miejsce stracenia niewinnie na śmierć osądzonych (Eichmilera, Szaramowicza etc). Boleść i cierpienie, odczuwane przez niego w owych chwilach, tak okropnych dla każdego szlachetnego człowieka, malowały się z potężną siłą na jego obliczu tak, że miał wtedy wygląd męczennika, dźwigającego krzyż za swych towarzyszy i kładącego obok ich życia własne swe serce na ołtarzu ofiarnym.

Ksiądz Krzysztof miał zawsze myśli przepełnione gorącem, współczuciem dla nieszczęść ludzkich, a ręce pełne dobrych uczynków. Zajmował się gorliwie losem sierót i wdów, utrzymywał własnym kosztem szkółkę przy kościele w Irkucku dla ubogiej dziatwy wygnańców, sam pełnił w niej obowiązki nauczyciela i wespół z kilkoma rodakami (M., D., G., K., etc.) wychowywał młode pokolenie na pożytecznych i cnotliwych obywateli kraju rodzinnego. Obok tego wszystkiego starał się szczerze o umoralnienie ludzi starszych wiekiem, propagując pomiędzy nimi zasady wstrzemięźliwości i trzeźwości, a nadto nalegał na konieczność zaniechania zabaw karcianych i uczęszczania do piwiarń, winiarń etc. Trunki i karty były według jego zdania istną plagą społeczeństwa, początkiem wszystkiego złego i źródłem nieszczęść, jak rodzinnych, tak i społecznych; to też sądził, że pierwszym obowiązkiem duchowieństwa naszego jest walczyć słowem i przykładem z temi chorobami obrzydliwemi a tak zakaźnemi. „Nie politykować“ — powiadał — „nie mędrkować, nie fanatyzować, nie hodować opasłych brzuchów i policzków bachusowych, nie błyszczeć sajetą i atłasami, lecz świecić umiarkowaniem, cnotą wszelaką, rządzić się miłością, tolerancją, moralnością, obywać się bez gospodyń, być dla wszystkich przykładem żywym, oto drogowskaz“ — mawiał —„dla duszpasterzy naszych“.

Ulżyć cierpieniom, mieć serce dla wszystkich nieszczęśliwych, zaszczepiać w umysły ludzkie potrzebę miłości bliźniego, uszanować wszędzie człowieka w człowieku, bez względu na jego wyznanie religijne i polityczne przekonania, pomagać w rozwoju myśli i uczuć liberalnych, dawać z siebie samego przykład poświęcenia, skromności, wyrzeczenia się uciech światowych i rozkoszy życia, wykonywać ściśle śluby ubóstwa, czystości i łagodności Chrystusowej — takiemi były zasady, któremi się rządził i kierował w życiu proboszcz irkucki.

W tych niewielu wyrazach starałem się przedstawić księdza Szwermyckiego takim, jakim go widzieliśmy, gdy był w sile wieku wśród działalności swojej pożytecznej i szlachetnej na Syberji; ona mu wprawdzie rozgłosu szerokiego nie zgotowała, lecz za to zjednała serca wszystkich parafjan i znajomych. Teraz na tle zarysu ogólnego, skreślonego powyżej, podam tu krótką opowieść o dziejach jego żywota. (C. d. n.)

Dr. B. Dybowski.

Daj Boże zdrowia krowie!

Tymoteusz Bordulak*).

— Ho, ho, ho, niebogo! nie małom się ja napracował, nimem zarobił 50 reńskich... 50 reńskich! To nie pięćdziesiąt razy kiwnąć palcem, nie pięćdziesiąt kołaczy zjeść, ale tłuc się całą zimę z siekierą po lasach, po debrach, koło sążni, koło brusów... marznąć, jak pies i jeszcze dbać o żydowską łaskę, żeby psi żydowin nie pchał człowiekowi, zamiast pieniędzy, gorzałki! A przecie zarobiłem: ciebie kupiłem, i wiodę do domu, dzieciom na pociechę!...

Tak mówił chałupnik, Matwij Bas do krowy, wiodąc ją na postronku z jarmarku do domu. Krowa piękna: popielatej szerści, z zakrzywionymi do góry rogami, z wielkiemi wymionami... widać dobrze przezimowana.

Dokoła zieleniły pola, w powietrzu żaliły się krasnowronki, a tuż przy drodze rosła zielona miękka trawa, co wabiła ku sobie krowę. Słońce spuściło się już ku zachodowi, człowiek śpieszył do domu, ale krowa na to nie zważała. Co kilka kroków stawała i pożądliwie skubała zieloną trawę.

— No, no! idźże! Jakaś ty uparta! — prowadził Matwij dalej swą rozmowę, mocując się z krową. — Dawaj tylko dużo mleka, to już moja stara będzie cię doglądać i dzieci popasą po miedzach, po brzegach, ile sama zechcesz... I tamtą, com w przyszłym roku sprzedał, doglądały, tylko przyszła bieda... trzeba było w jesieni oddać dług, podatek zapłacić, posprawiać odzież na zimę, i musiałem sprzedać. A dobra była krowa i mleka dużo dawała!...

Krowa, jakby rozumiała swego przewodnika, bo od czasu do czasu obracała ku niemu rogatą głowę i mierzyła go wielkiemi, czarnemi oczami.

* * *

Na podwórzu, przed niewielką chałupiną, co stała u brzegu wsi, bawiło się pięcioro małych dzieci, w połatanych koszulkach i wybiegało ciągle do wrót, wyglądając na drogę, czy nie idzie ojciec. Słońce, jak olbrzymia kula, spuszczało się za rąbek lasu i czerwonym promieniem oblewało chatę z małemi okienkami, oblewało podwórze oblewało białe głowy dzieci, tarzających się na murawie.

Skrzypnęły drzwi i na progu stanęła Matwijowa, nie stara jeszcze kobieta, ale już z pomarszczoną i poczerniałą twarzą. Ostatnie blaski słońca jeszcze o nią zawadziły, pocałowały w twarz i Matwijowa przez chwilę wyglądała, jakby statua miedziana.

— Jeszcze tato nie idzie! Jeszcze niema tata! — szczebiotały dzieci do matki, chcemy hamu, daj nam jeść!

— Ach wy, szarańczo jakaś! Nic, tylko byście jadły, a do roboty was niema! zawołała matka z łaskawym uśmiechem na twarzy.

Wiedziała, że od takich dzieci jeszcze nie można spodziewać się wielkiej pomocy.

— To będziemy paść krowę, gdy tato przywiedzie z jarmarku! rzekł z zapałem najstarszy chłopczyk, siedmioletni.

Matka wyniosła z chałupy kęs czarnego chleba i zaczęła obdzielać dzieci po kolei... wtem i Matwij zjawił się wraz z krową niepostrzeżenie pod wrotami.

— Hej! ano otwierajcie! dało się słyszeć z za wrót.

Dzieci, jak zobaczyły ojca, migiem rzuciły się ku wrotom, tylko jedno maleńkie zostało u matki na rękach.

— Tato! tato! krowa! — krzyczało jedno za drugiem.

Czworo małych ludzi uczepiło się wrót i w jednem mgnieniu otworzyło je na oścież. Otworzyły: i krowa z tryumfem weszła na podwórze, a dzieci obstąpiły ją i zaczęły ogladać z ciekawością.

Matwijowa przeżegnała grzbiet krowy i pocałowała w łeb między rogami.

— Ach! gołąbko moja! ach, moja maleńka! Ty pewnie jeść chcesz, ty pewnie chcesz pić! — przemawiała, przymilając się do krowy i gładząc jej boki.

Matwij stał z boku i hardo patrzał na tę scenę. Jego oczy mówiły: „Widzisz stara, jaki ze mnie gospodarz! jaki ze mnie ojciec! Szanujże mnie, niebogo!“...

— No, nie godzi się pieścić z krową! Lepiej zrobisz, jak dasz jej paszy, lub trawy. Krowa dojna, dobra, wszyscy ludzie mówili. Daj i mnie co chlipnąć, choć barszczu, albo czego — rzekł Matwij żonie i poszedł do chałupy.

Matwijowa nie spieszyła za mężem, bo wiedziała, że da sobie radę bez niej. Nazbierała już przedtem całe brzemię trawy i ziela po brzegach rzeczki i zaczęła karmić krowę.

---

*) Ks. Tymoteusz Bordulak g. kat. proboszcz w wiejskiej miejscowości wschodniej Galicji jest jednym z młodych pisarzy pracujących na niwie literatury rusińskiej. Obcując często i przez dłuższy ciąg lat z ludem wchodził w jego życie i patrzał na nie zblizka. Stąd powstał niedawno wydany spory tom obrazków, objętych wspólnym tytułem: „Błyżnyj“ (bliźni). W obszernym tym zbiorze znalazły odbicie niektóre momenty i szczegóły życia, wyjęte z tej drobnej, zamkniętej społeczności, jaką tworzy wieś ruska z różnemi swemi, prawie nieodzownemi postaciami, którym nie brak indywidualnego charakteru.

Jeden z zawartych w tym zbiorze obrazków, przedstawiający moment, w którym osią życia rodziny wieśniaka, ogniskiem skupiającem jego promieniowanie staje się żywicielka-krowa, podajemy w przekładzie polskim. (P. t.).

Matwij ani czekał na żonę. Znalazł w piecu barszcz, wziął kęs chleba i ten płynny posiłek naprawdę „chłeptał“ tak, że aż na dworze było słychać. Jednak, gdy z powodu podróży, łyżka wydawała mu się za mała, poradził sobie inaczej: wziął krąg garnka w zęby i pił barszcz łakomie, przestając tylko dla oddechu, lub przekąszenia chlebem. Matwij najadł się (o ile najeść się można czystym barszczem) i położył się na pościeli, stojącej w kącie chaty, wsunąwszy sobie pod głowę jedyną brudną poduszkę, jaka była w całej chacie.

A żona karmiła krowę.

— Hej, stara! a je krowa? — huknął Matwij z pościeli.

— Je, moja maleńka! trzeba jeszcze i napoić biedactwo! — dała się słyszeć odpowiedź Matwijowej.

Matwij, zadowolony, leżał na pościeli i nie myślał o niczem. Były to najszczęśliwsze chwile w jego życiu, kiedy legł sobie czy to w chacie, czy w lesie pod sosną i puścił samopas myśli, co bez związku krążyły nad jego głową i gdzieś tam rozchodziły się z szumem lasu, a jego ogarniał twardy sen... Jednak takie chwile były dla niego rzadkie. Nieustanna praca i troska o żonę, o dzieci, zajmowała go dniem i nocą.

Matwijowa wzięła skopiec i zaczęła doić krowę. Dzieci nie odstępowały ani na krok i ciekawie a pożądliwie słuchały, jak mleko ćwierkało. Za chwilę skopiec był pełny a Matwijowa nie posiadała się z radości. Zawiodła krowę do chlewa, przybudowanego do chaty. A dzieci w ślad za nią... im aż pachła kasza na mleku.

— A co, stara? Dała krowa mleka? — zapytał Matwij.

— Dała, dała i to pełny skopiec... dobre mleko, gęste...

— Gotuj kaszę! — zakomenderował Matwij, leżąc na pościeli, jak basza turecki.

Nie było zwyczajem Matwijowej gotować kaszę na mleku w dzień powszedni. Takie jedzenie na niedzielę, na święto, powszednie dnie zbywała czem bądź: barszczem, ziemniakami, kaszą na wodzie, albo na serwatce... Ale dzisiaj sama czuła jakieś święto w duszy... Tak długo nie było u nich krowy, tak długo dzieci nie widziały łyżki mleka, dziś ten pożądany gość obdarzył ich na wstępie pełnym skopcem pożywnego nektaru. Czyż nie można dziś zrobić wyjątku? Tak! Nie dała sobie dwa razy powtarzać, rozłożyła w piecu ogień i zaczęła gotować kaszę. Dzieci stały koło przypiecka i pilnie patrzyły w ogień, co żółtymi językami podlizywał czeluść, spoglądały na garnek, co spokojnie stał sobie przy ogniu, a najstarszy chłopiec przytknął ukradkiem palec do garnka, by zobaczyć, czy już czerep gorący. I nie uszło mu to bezkarnie. Matka dostrzegła jego ciekawość i uderzyła go łyżką po ręce i krzyknęła na dzieci:

— Czego stoicie koło przypiecka, jak ten grzech przy duszy? Chcecie się popiec? Nie możecie chwilę zaczekać?

Dzieci posłuchały: odstąpiły od przypiecka, posiadały rzędem na ławce i czekały.

Ogień trzeszczał, kasza zaczęła kipić, a Matwij leżał na pościeli i nie myślał o niczem. O niczem nie myślał? Dziwna rzecz! Ten szczęśliwy stan duchowy wprowadzał go zwyczajnie w sen, a sen objawiał się znowu głośnem chrapaniem, jakby kto rżnął piłą sosnową kłodę. Dzisiaj Matwij nie spał, leżał sobie cicho ze złożonemi na krzyż rękami i wodził oczami po chacie... pożądał..

Nareszcie przyszedł koniec i pożądaniu. Matwijowa odsunęła garnek od ognia, postawiła na stole miskę, nalała do niej kaszy i para mleka rozeszła się obłokiem po chacie. Dzieci rzuciły się do łyżek i każde wzięło swoją, pozasiadały za stołem i czekały na ojca, ale ojciec nie szedł do wieczerzy, nawet nie ruszył się na swojem legowisku, bo jeszcze chciało mu się koniecznie, by żona zawołała na niego, że wieczerza już na stole.

Matwijowa ostudziła w maleńkiej miseczce kaszę dla najmłodszego dziecka i posadziła je z łyżką w ręce na ziemi.

Dziecię jadło...

Aż teraz przyszła kolej na wszystkich. Matwijowa wzięła łyżkę dla siebie i dla męża i usiadła koło stołu.

— Ano, stary! wstawaj do wieczerzy! — zawołała na męża.

— Ha? co? już? — mówił Matwij, jakby ze snu, podnosząc się z powagą z pościeli.

Wyglądał zupełnie obojętny. Niegolona jego twarz mówiła:

— „Et, co mi tam kasza na mleku? To samo co barszcz... czy to ja dziecko?“... Tylko to dziwne, dla czego na pierwsze zawołanie żony zaraz wstał z pościeli? Toż zwykle żona go targała, by dobudzić się do wieczerzy, a dzieci ciągnęły za nogi... Czemu przedtem, nim zasiadł u stołu, trzy razy przeżegnał się wielkim krzyżem i w pas pokłonił się przed kaszą, — kiedy wpierw zwykł był tylko z przyzwyczajenia machnąć kilka razy ręką po piersiach, albo głęboko ziewnąć i przeżegnać usta?... Dzieci na to nie zważały, lecz żona dostrzegła, uśmiechnęła się i pomyślała: Dziwuj tu się dzieciom, kiedy stary, jak dziecko, aż trzęsie się do kaszy na mleku“...

Poczęli jeść kaszę. Matwij zjadł jedną łyżkę, drugą, trzecią — smakuje...

— Dobra kasza! — mówi — jużem dawno takiej nie jadł.

— Dobra kasza! — szczebiocą wesoło dzieci, jedząc.

Sześć rąk, uzbrojonych w łyżki, biegnie to do miski, to z miski i sześć cieni chwieje się na ścianie.

Zjedli wszystko, co było w misce.

Matwij spoglądał z pod gęstych brwi na żonę.

— Ano, stara! Dolej jeszcze!... To chyba nie wszystka.

— Dolej mamo! dolej! — domagają się dzieci.

Lecz Matwijowa nie dolewała. Chciała trochę męża podrażnić.

— Jakże ci nie wszystka? — mówi — wyskrobałam garnek, — kiedy chcesz, to popatrz...

Matwij nie wierzył żonie. Nie darmo wodził po chacie oczami, leżąc na pościeli, widział każdy ruch żony.

— Et, nie żartuj, stara, nie durz i lej kaszę! Jak jeść, to jeść!

A dzieci sobie:

— Jak jeść, to jeść!

Matwijowa nalała jeszcze pełną miskę kaszy, a sama siadła koło najmniejszego dziecka, wyskrobywała garnek i karmiła małego, a ojciec z starszemi dziećmi wypróżniał miskę.

Gdy już tylko trochę pozostało na dnie, Matwij położył łyżkę, otarł pot z czoła i rzekł:

— No, pożywiłaś ty nas dziś stara, żeby tak zawsze! Dajże Boże, zdrowia krowie, za to, że dała mleka!

— Daj Boże zdrowia krowie — powtórzyły dzieci jednym głosem za ojcem, kończąc wyskrobywanie miski.

Matwijowa była bardzo rada, że pożywiła wszystkich do syta, lecz większą część zasługi przypisywała nie sobie, lecz krowie. To też zaraz po wieczerzy wyszła do niej, popatrzeć, co ona tam robi „biedaczka“...

Noc była cicha, pogodna, na niebie świeciły gwiazdy, a krowa leżała w chlewie i przeżuwała spokojnie...

Po ugorach!

Po ugorach i ściernisk wymarłem pustkowiu
Rozsnuły się zasłony wiotkich mgieł i spłyną,
Rozwiewne, w oddal mroczą, nieuchwytną, siną —
Nad niemi sierp księżyca srebrzy się na nowiu.

* * *

A blade jego światło na ściernisk węzgłowiu
Ledwie że się zapali, wnet już blaski giną
I zmywszy mgły ciche, zwisną nad doliną
Senną, ciężką szarzyzną o barwie ołowiu.

* * *

I zda się w tem półświetle, że te mgły, to żywe,
Smętne jakieś postacie, wlokące się w dale
Tajemnicze, gdzie życie nieznanem jest wcale,
Kędy mroki bezświetlne i wieczne milczenie —
A w tę głuszę i światłu niedostępne cienie...
One płyną, by znaleść zacisze prawdziwe...

Adam Stodor.

Z pism i książek.

J. K. Kochanowski. Kazimierz Wielki. Zarys żywota i panowania (Życiorysy znakomitych ludzi. Bronisław Natanson, Warszawa 1900, str. 142).

W szeregu wydawnictw nowej firmy warszawskiej pojawiło się także wyżej przytoczone dziełko młodego uczonego p. Kochanowskiego. Sama myśl uprzystępnienia szerszej publiczności wyników badań specjalnych w formie powabnej jest bardzo piękna. Młody uczony, który się podjął tego zadania, wykazał talent podwójny, bo ścisłego badacza i zarazem zajmującego popularyzatora.

Okres dziejów, którego się dotknął, ważny, bo zaznaczający się konsolidacją i podniesieniem się wewnętrznym państwa, rozbitego w epoce podziałów. Postać, która ten wiek wyświetla, zajmująca, otoczona miłością poddanych za życia aureolą sławy po śmierci.

Powiedzmy jeszcze, że źródła miał autor wydane i łatwo przystępne. Opracowania gruntowne Cara, Szujskiego, poniekąd Smolki, na które się często powołuje. Przyzna wreszcie każdy, że po wyjściu pomnikowego dzieła Balzera, »Genealogji Piastów« mamy w ręku nić przewodnią w tajnikach ważnej dynastycznej polityki średniowiecznej *).

Autor miał dwie drogi przed sobą. Mógł przedstawić główne kierunki panowania Kazimierza W. każdy z osobna, lub też pójść za chronologicznym wątkiem faktów, nawiązując do niego wytłómaczenie każdego zdarzenia. Wybrał tę ostatnią. Zaczyna od daty urodzin syna Łokietkowego i prowadzi nas przez lata jego dzieciństwa, młodości, blisko 40-letniego panowania aż do śmierci, przez co, niewątpliwie, postać sama króla uplastycznia się dla nas i opowiadanie nabiera życia, bogactwa i rozmaitości, którymi nas tak do siebie pociąga wielka postać króla gospodarza. Nastręczają się przy tym sposobie pisania zapewne niektóre trudności. W paru miejscach musiał autor odstąpić od swej zasady, n. p. w przedstawieniu rozwoju ustawodawstwa wiślickiego, które obejmuje przeszło 20-letni okres pracy tego króla. I na odwrót dla jedności planu zmuszony jest potem ponawiać parokrotnie swe opowiadanie. Ale to nie są usterki, tylko godzenie konieczności z wymogami przyjętej formy pisania.

Mimo ścisłych ram, zakreślonych z natury rzeczy pracy popularnej, autor nieraz podnosi kwestje nowe, których tylko dla braku miejsca nie rozwija i nie uzasadnia, n. p. sprawa stosunku zakonu do Polski na mocy traktatu kaliskiego (str. 57).

*) Nie w formie zarzutu, ale dla informacji zaznaczam brak w cytowanych środkach Regesta imperii Böhmera do czasów Karola IV.

Usterek drobnych faktycznych nie ma wcale. Nie będę się spierał o identyfikowanie przypiśników z dziedzicami. Faktycznie w XIV. w. stosunki włościan ujednostajniają się. Co do kolonizacji niemieckiej, to wprowadza ona regularną szachownicę pól, która właśnie nie ma nic wspólnego ze wsiami pierwszymi germańskimi rozrzuconymi (Haufendorf).

Autor, zdaniem mojem, zamało poświęcił miejsca kwestjom polityczno prawnym w swem zarysie. Należało uprzystępnić bodaj to, co nauka w nowszych czasach zyskała. Ważną, bo zasadniczą kwestją panowania Kazimierza W. jest sprawa następstwa tronu. Jej rozwiązanie w duchu Kazimierzowem — przekazanie korony Andegaweńczykom wiąże się zasadniczo z polityką króla Kazimierza, par excellence dynastyczną. Nie będę rozwijał tutaj spraw, dobrze znanych z rozprawy prof. Balzera *). Powiem tylko, że zwykła ciekawość skierowuje umysł czytelnika do zapytania, dlaczego Kazimierz W. przekazał tron obcej dynastji, nie zaś Piastowiczom. Ciekawość ta zaś tembardziej jest usprawiedliwioną, że tą wolą swoją utorował Kazimierz nowe drogi dla rozwoju Polski i to zarówno na wewnątrz, jak i na zewnątrz.

Może również wypadałoby lepiej wytłomaczyć genezę sporu między Polską a Litwą, której osią były ziemie, należące niegdyś do Rusi Czerwonej, a właściwie Wołyń i Podole. Tkwi ona, jak wiadomo, formalnie w pokrewieństwie zarówno Kazimierza W., jak i Lubarta z ostatnimi Romanowiczami, istotnie zaś w rozszerzaniu się zarówno Polski, jak i Litwy w kierunku m. Czarnego. Natomiast na jedno, zdaniem moim, autor słusznie kładzie nacisk. Uważa on Pomorze za również niezbędną do istnienia i rozwoju część Polski, jak i Ruś Czerwoną i podkreśla, że Kazimierz W. tej idei politycznej się trzymał i nigdy się jej nie zrzekał, nawet na łożu śmierci dał jej wyraz w testamencie (zapis dla Kaśka).

Uderzyło mnie jedno zdanie autora. »Monarchje nowożytne oparły się na równomiernem rozwoju całości społeczeństw (?), a Polsce drogę tę wskazał Kazimierz; błąd i egoizm późniejszych pokoleń wskrzesił jednak anachronistyczny, a zamarły już wszędzie ideał ciasnej niesforności średniowiecza« (str. 125). Sz. autor nie zaniedbał dać tła ogólno-dziejowego swej pracy, a jednak musimy się go spytać, któreto z państw nowożytnych zachodnich rozwijało się w ten sposób, ażeby na korzyść arystokracji duchownej i świeckiej nie były upośledzane interesa miast, nie mówiąc już o tem, że właśnie okres historji nowożytnej zaznacza się całkowitym upośledzeniem warstwy wieśniaczej, której dola w czasach średniowiecznych niejednokrotnie była o wiele lepszą. Drugie zdanie przytoczonego okresu jest wręcz nienaukowe, bo zapoznaje cały nowożytny okres historji polskiej, oparty na parlamentaryzmie — i jako zdawkowy komunał nie powinno było wejść do ścisłej i przedmiotowej rozprawy szan. autora. *A. Szelągowski.*

Stefan Żeromski: Ludzie bezdomni.

Oryginalne są losy ostatniego utworu Żeromskiego. Krytyka wytyka w nim mnóstwo wad, podnosi pełno zarzutów, a kończy w większości wypadków uniesieniem, publiczność zaś, nie zważając na pierwsze i nie słuchając drugich, książkę rozrywa — i »Ludzie bezdomni« pozostają sensacją powieściową w świecie literackim.

Dzieło Ż. wzrusza, dyszy całe bowiem bolem życia. Bezdomni to ci, którym nadmiar poczucia nędzy ludzkiej zdziera dach z nad głowy; w życiu są jak »pielgrzymi, co się w drodze trudzą przy blaskach gromu« ... Przesuwa się ich kilku, rozmaicie ugrupowanych, niektórych już pogodzonych, innych strawionych gorączką własnej duszy, którym w końcu dajmonion, wewnętrzny głos, podsuwa kulę rewolwerową. Góruje nad niemi postać d-ra Judyma, który cierpi na hypertrofję współczucia. Nie jest to ideolog altruizmu, bo jego współczucie nie ma kształtów jakiejś abstrakcyjnej idei, lecz jest organicznym wylewem duszy, która posiada nadto i swe gorące nienawiści i żale głębokie.

Człowiek ten ma wroga nie tylko na zewnątrz, w społeczeństwie, ale i w sobie samym, pokonywa go, łamiąc swoje szczęście osobiste.

Judym po uzupełnieniu nauk medycznych w Paryżu wraca do Warszawy. Na wstępie zraża sobie koła lekarskie odczytem, w którym twierdzi, że lekarze, zamiast podnosić hygjenę całych mas społecznych, są tylko lekarzami bogatych. Nie mając co przem robić w Warszawie, udaje się do miejsca kąpielowego w Cisach, gdzie odkrywa, iż dzięki uporowi zarządu bagna zatruwają okolicę wyziewami niezdrowymi. Przychodzi do sceny, po której Judym musi opuścić Cisy i przenosi się w dalszej wędrówce na posadę lekarza fabrycznego w kopalniach Zagłębia. Odsłania się mu, że nie może mieć niczego, ani jednej rzeczy, którąby przycisnął do serca z miłością, — że musi być sam, by go nikt nie trzymał. Rozstaje się ze swą miłością, Joasią, także jedną z bezdomnych. Nad nimi łka tylko płacz sosny rozdartej. Tętno dzieła tworzą współczucie i ból, dwa czynniki potężne napięciem, złączone szerokim rozmachem twórczego wzruszenia, które się ciągle i wszędzie czuje. Powieść cała, bez jednolitej fabuły, pisana jakby jednym tchem, co się i w budowie zdań i następstwie wyrazów odbiło, rozbita w drobne szczegóły i epizody, przełamana jakby na okruchy. Może jednak właśnie ów gorączkowy bezład opowiadania, pełen jakiegoś wzruszenia, zabiera czytelnika, jak swoją zdobycz.

Ż. ma swoją odrębną poezję słowa — słowa żyjącego, pulsującego krwią. Dźwięczy ono delikatnie, lub drga bolem, już nie ludzkie, ale kosmiczne rozmiary mającym. W paru razach wyrazy jego stały się, że tak powiem, jakby przekrwione. Pozostały mi w pamięci zaledwie dwa takieustępy, które budzą raczej fizjologiczne, niż duchowe wrażenie i wśród akordów, a choćby i dysonansów dźwiękowych brzmią, jak zgrzyt nieartykułowany. Styl jego ma zawsze swoją znamienną świeżość, czegoś, co żyje, choćby bolem żyło. — Czasem rozpina delikatną pajęczą sieć dziwnej żałości, na której drżą krople łez ludzkich, niekiedy znowu oddaje rzeczy i wrażenia chrapliwie, twardo, bezlitośnie.

Są książki, o których wolno mówić nie wiele. Utwór Żeromskiego należy do tych, o których można pisać albo obszernie, lub też podać krótką informację. Obszar miejsca dozwala tylko na ostatnią, to też poprzestaję na tych kilku słowach. *T. Sob.*

*) O następstwie tronu po śmierci Kazimierza W. Kraków 1897.

Z drukarni W. A. Szyjkowskiego, Lwów, ul. Kopernika 5.